

Krystallina Autokratorias

Kefalaio I: “Eftychismeno to neo etos”

Pre-reading: Dolar84, Alberich, Baffling, Niklas
Korekta: Baffling

Nie może umrzeć ten, kto nie zobaczył pokazu sztucznych ogni w Nowy Rok, na placu głównym. Na tą uroczystość ściągano tony fajerwerków z Szin - Czinma, od tych najgorszej jakości, potrafiących wybuchnąć zaraz po odpaleniu (pomimo lontu); aż do tych ekskluzywnych, z efektem smugi, kolorowego śladu podczas lotu, czy błyszczenia po wybuchu. Instalowano je wszędzie - na dachach, w ogródkach, byle odpalić i podziwiać efekt.

Jednakowoż przy Ogniach Cesarskich, nawet najefektowniejsze petardy kupowane przez rodziny magnackie wydawały się zwykłym prochem wsypanym do drewnianego pudełeczka. Nieważne ile pieniędzy przeznaczano na ten cel - Ognie były zawsze na pierwszym miejscu. Zamawiane odpowiednio wcześniej, bezpośrednio u alchemików jeszcze w Szin - Czinma, na specjalne zlecenie i życzenie samego Imperatora. Skład, efekt, wygląd fajerwerku, każdej pojedynczej rakiety, owiany był tajemnicą aż do momentu, gdy ta była rozrywana przez siłę wybuchającego wewnątrz prochu. Przewożone w specjalnych wagonach, traktowane z równym szacunkiem jak sam Cesarz, po dotarciu na stację były transportowane prosto na plac główny. Bezpieczeństwo przez długi trakt zapewniała ta sama Gwardia Kryształu, która na co dzień gotowa jest własnym ciałem chronić Imperatora od wszelakich niebezpieczeństw. Taki pochód przez całe miasto, poczynawszy od samej stacji kolejowej na obrzeżach Stolicy, aż do placu w środku metropolii, wywoływał wielkie zaciekawienie wśród mieszkańców, zarówno tych najmłodszych, jak i starszych. W ciągu tych 45 minut, których odbywał się ten jedyny w roku pochód, to właśnie Ognie Cesarskie były ważniejsze niż Miłościwie Im Panujący.

Widok specjalnych, antywstrząsowych skrzyń pod baldachimem, mającym chronić przed ewentualnym deszczem, nakręcał atmosferę oczekiwania na święto Nowego Roku, obchodzone z początkiem miesiąca akwamaryna. Zamieszanie na ulicach zaczynało się jednak tydzień wcześniej, bez względu na pogodę. Wtedy to bowiem pierwsi nadgorliwcy zaczynali dekorować swoje domy. W oknach pojawiały się różnokolorowe girlandy imitujące przyszytodygodniowe efekty, napisy i hasła wyrażające mocno i dobitnie pogardę do starego roku i nadzieje związane z przyszłym. Nie wszystkie lata zasługiwały, by żegnano je z takim zapalem i nastawieniem, jednak tradycja mówiła jasno: "co stare wyrzucić, nowe będzie lepsze". Nawet jeśli nadchodzące dwanaście miesięcy niosło ze sobą widmo plagi czy innego kataklizmu.

Fajerwerki nie były jedyną atrakcją tego wieczoru. Od rana w sklepikach, ciasno zbudowanych obok siebie wokół rynku, można było zakupić napoje bez których nie wyobrażano

sobie Nowego Roku - miodu pitnego z lasów Cervidas, spożywanego głównie przez zamożniejszych mieszkańców Cesarstwa, z powodu sprowadzania go z dość dalekich stron; cydru z krajowych sadów Imperium, którym raczyli się ubożsi, ale równie szczęśliwi obywatele; czy może słodkiego, ciemnego piwa dla najbiedniejszych, sprzedawanego prawie za bezcen, jeśli nie rozlewanego chętnym, nierzadko zamożniejszym od większości. Całą pulę dopełniały soki pozbawione procentów, jednakowoż lubiane z powodu swej ceny i mnogości smaków.

Tego dnia także dbano o żołądki biesiadników. W tych samych ciasnych sklepikach, można było nabyć coś na przegryzkę, czasem także coś sycącego, a i zdarzała się kamieniczka na tyle szeroka, że można było zaimprovizować stoliki z siedzeniami i podawać pełne dania. Zazwyczaj fakt, iż budynek taki był zatłoczony ciżbą, a przejścia pozostawiane poodsuwanymi krzesłami sprawiał, że większe restauracje w głębi miasta, dalej od rynku, mogły liczyć na przyzwoitszy niż zwykle utarg. Podawane potrawy różniły się zależnie od rodzaju i wielkości budynku. Wąska kamieniczka nie mogła sobie pozwolić na coś więcej, niż zapiekanka z serem i pieczarkami, czy bułeczki z makiem, o obecności miejsc do siedzenia nie wspominając. Szersze mogły już poważnie myśleć o potrawach na papierowych tackach, oraz jeśli właściciel był sprytny i kazał rozłożyć ogródek gryficki przed budynkiem, liczyć na więcej klientów, niż lokal obok kiszący tłum w małym pomieszczeniu. Jedzenie na talerzach z polerowanego dolomitu, oraz obsydianowe sztucce, były raczej zarezerwowane dla tych większych restauracji, w głębi miasta. Jadłospis zmieniał się wraz z rodzajem tego, na czym spoczywało jedzenie. Na papierowych tackach nie spodziewano się raczej sałatki Caesar, czy papryczek nadziewanych, ale zapiekanka podana na dolomicie też była popularna, tylko jeśli była spożywana na spokojnie w lokalu, z dala od rozentuzjasmowanego tłumu na placu. Na takie rozwiązania decydowała się śmietanka, dość często gardząca "dzikim i rozpasanym" tłumem. Mimo wszystko, to właśnie fakt bycia pośród bawiącego się stada mieszkańców sprawiał, że wytwarzała się swego rodzaju więź między wszystkimi uczestnikami dzikiej zabawy. Tak silna, że przypadkowe przewrócenie, czy wylanie soku na niedawno wypielęgowaną grzywę kłaczy obok, czy na mniej wypielęgowaną czuprynę najprawdopodobniej krewnego Snowflake'a (a przynajmniej towarzysza w hobby), wywoływało tylko szczery śmiech.

Dźwięki, czyli to, co pozostaje w pamięci dłużej niż ochlapane futro, grzywa, czy może brudna suknia za 2500 aureusów (wymysł śmietanki - pójść między chlapiący się ketchupem, musztardą i napojami tłum, by "poczuć atmosferę festynu plebejskiego"). To święto obfitowało w różne ciekawe, dziwne, głośnie dźwięki. Oczywiście rzeczą był gwar, wszechobecna mowa miasta; z lewa słyszeć, że ta lokomotywka to z drewna tutejszego, tam z prawej że ich porąbało, że za 2 aureusy bułkę miodową sprzedawać, gdzieś dalej jakiś mały żrebaczek szuka z płaczem swojej mamy, z tyłu ktoś woła do siebie swego synka. Tam za rogiem gra amatorska orkiestra, gdzieś jeszcze słyszeć nawoływania do kupienia jedyne takiego na rynku zestawu garnków... Wyróżniał się pan konferansjer, wodzirej i mistrz ceremonii, stojący na wielkiej scenie ustawionej tak, by przylegała do pierzei kamienic. Oj słono musiało miasto zapłacić tym wystawcom, którzy niestety nie mogli sobie pozwolić na sprzedaż jedzenia, a już tym bardziej na wystawienie ogródka, z powodu wielgachnej, bogato przystrojonej sceny. Od kilku lat szukano sposobu na to, by przestać płacić właścicielom, bo przepadały dość duże pieniądze,

które przecież można przeznaczyć na zupełnie inne cele. Jak chociażby budowa kolejnej dzielnicy, bo obywatele zaczynają się dusić w mieszkaniach, a brakuje już pustych lokali, by można było się tam przenieść z całym dobytkiem. Albo rozbudowa stacji kolejowej, wszak Cesarskie Drogi Żelazne są wiodącym przewoźnikiem w regionie, docierają w coraz to nowsze miejsca, pociągów jest więcej niż było jeszcze miesiąc temu, a dworzec okazuje się cały czas być niewystarczający. Albo jeszcze coś i jeszcze coś, ogólnie pomysłów jest multum. Nad wyglądem miasta pracowało całe grono projektantów, ekspertów i radnych. Ale nie tego dnia, nie w Nowy Rok, nie przy tej muzyce, jedzeniu, piciu i atmosferze. To było święto wręcz państwowe. Odebrane byłoby to jako sprawiedliwe, gdyby ktoś wylądował za kratkami za to, że pracował właśnie w ten dzień (choć jeszcze nikt się nie odważył "złamać tradycji").

Gdy wielki zegar z sześciobocznym cyferblatem na wieży ratusza odbimbywał jedenaście razy swoją robotę, okraszając następnie występ kurantem, uruchamiano gigantyczny chronometr obok sceny, widoczny nawet z odległości czterech stajni od miasta. Schodzili się wszyscy, tłum pod estradą bawił się do muzyki zespołów na niej, zaś magnateria i arystokracja zasiadała w specjalnych łóżach. Ci nobile, którzy wcześniej pozwolili sobie na "swawolne przebywanie z plebsem miejskim" brudząc swoje suknie i stroje wieczorowe sosami i napojami, mieli całe zastępy służących, taszczących ze sobą ubrania zastępcze, by pani mogła wybrać nową kreację, oraz przenośną kosmetyczkę wielkości walizki, żeby mogła upudrować pyszczek. Ekstrawaganccy i bogatsi tachali ze sobą całe drewniane gabinety i przebieralnie, i to tylko po to, by jak najbardziej pozacierać ślady dawnej "zabawy" z pospółstwem. Wszak raz na jakiś czas można zstąpić na ziemię i dać maluczkim obraz bogactwa, którego najprawdopodobniej nigdy nawet nie dostąpią.

Gdyby wspiąć się na jeden z dachów należących do kamienicy przy placu, od razu byłoby widać kontrast. Z jednej strony białe, och jak białe na trybunach, splendor, elegancja, blichtr, przepych, bogactwo, a zarazem i sztywna atmosfera. Z drugiej zaś strony ten tłum we wszystkich barwach tęczy, stado czasem już pijanych, lecz świetnie bawiących się mieszkańców, różnobarwny i zarazem szczęśliwy naród. Tradycja nakazywała bowiem, iż święta należy spędzać razem. Samo pojęcie "razem" ograniczało się raczej tylko do umownych boków kwadratowego placu, ale kogo to obchodziło? Tradycja nie precyzowała, a jeśli nie precyzowała - możliwości interpretacji było mnogo.

Część "crème de la crème" święta następowała jednak dopiero, gdy ten sam ametystowy zegar umieszczony na wieży wydał dźwięk tylko raz, grając jakby preludium do tego, co ma nastąpić. Jakby za dotknięciem magicznej różdżki, kuce przerywały wszelkie czynności i kierowały się na plac. Robiło się coraz ciasniej, toteż i cała zabawa przy scenie, jak i pośród tłumu zaczynała pomału się uspokajać. Zbliżał się punkt kulminacyjny. Gwar mimo wszystko nie cichł, a wręcz przeciwnie, tężał i zdawał się przybierać na sile. Nic więc dziwnego, że gdy przybywał herold ogłaszający obecność Cesarza, słyszeli go tylko obywatele stojący najbliżej niego. Wieść jednak szybko roznosiła się pośród tłumu, toteż przesadnie długo na ciszę nie czekano. Nawet muzyka przestawała grać, by zrobić miejsce na fanfary. Wielkie, potężne wręcz trąby wyraziście komunikowały wszystkim zebranym oraz posiadającym słuch w

promieniu dziesięciu stajni, że oto Monarcha jest obecny pośród zebranych. Z całą pompą, jaka temu wydarzeniu towarzyszyła, Cesarz stawiał swe boskie kopyta na czerwonych jedwabiach z Szin-Czinma, kierując się na specjalny tron ustawiony w głębi sceny. Robiono wszystko, by tylko przydać Jego Cesarskiej Mości chwały większej, niż roztaczał wokół samą swą osobą, obecnością i stylem bycia. Gdy Jego Wysokość zasiadał na swym tronie w towarzystwie okrzyków i aklamacji wiernopoddańczych wobec jego osoby, podawano Mu na złotej tacy diamentową zapalniczkę, którą to miał podpalić pierwsze petardy nowego roku - Ognie Cesarskie.

Ogólnie sama osoba Cesarza, oraz jego styl bycia, nie był do końca taki "rozdmuchany", na jaki mógł się wydawać osobom postronnym, czy gościom w Cesarstwie, mającym ten zaszczyt zobaczyć Jego Wysokość na własne oczy. Pierwsze wrażenie, jakie można odnieść widząc Jego Wysokość, najprawdopodobniej posłużyłoby jako podręcznikowy przykład oceniania książki po okładce. Cały splendor, te wszystkie kosztowności, grawerowana zbroja reprezentacyjna, inkustrowana najrzadszymi kamieniami i wreszcie sama korona Cesarstwa Kryształowego, której wykonanie pochłonęło ćwierć wieku ciężkiej pracy jubilerów i złotników z całego świata, oraz fundusze po przeliczeniu na obecne kursy walut wystarczających do wzniesienia czterech miast o wielkości i bogactwie takim samym jak Stolica; to wszystko było tylko skorupą kryjącą pod swoją powłoką przywódcę jednego z największych i najpotężniejszych państw które widział dotąd świat. Ale czy kogoś to obchodziło...?

Gdy Jego Cesarska Wysokość zasiadał na tronie, wiedzano już, że to ostatnia prosta przed nowym rokiem. Trwały ostatnie poprawki przy Ogniach Cesarskich, ostatni mieszkańcy wdrapywali się na dachy kamienic niosąc ze sobą całe pudelka petard. Wyglądało to niczym transport amunicji na pole walki.

Od tego momentu liczył się czas. Każdy miał przy sobie cokolwiek, co pomogłoby określić ile jeszcze zostało do sedna uroczystości, do jej ukoronowania. Nieważny był gigantyczny chronometr na rynku, o nie! A co jeśli był wadliwy? Zbyt ważna to była sprawa, żeby ślepo zaufać wielkiemu, superprecyzyjnemu zegarowi. Każda upływająca sekunda skutkowałą wzrostem napięcia, bez względu na to, czy serce które musiało te emocje znieść, w sumie bić dopiero zaczynało, czy kończyło. Radość oraz podniecenie można było wyłapać z powietrza, ścisnąć, pokroić i zacząć sprzedawać na jednym z wielu kramików po drodze do rynku.

Trzy, dwa, jeden...